


665 
teatr

DOM
ZŁAMANYCH SERC"
BEZ SERCA

LEGNICKI Teatr Dramatyczny
zainaugurował nowy sezon
premiera „Złamanych serc”
Bernarda Shawa. Nie jestem jednak
zachwycony tym widowiskiem. Okazuje się, że „wielki kpiarz” z coraz

większym trudem wytrzymuje próbe czasu. Może straciliśmy wrażliwość na paradoksy znakomitego Irlandczyka? Może potrzebny nam inny rodzaj humoru niż intelektualne „błyskotki” autora „Kandydy”? W każdym razie coś w tym jest, skoro sztuka Shawa wymiotła z polskich scen, co zresztą nie wyklucza, że w przyszłości — kiedy zechcemy odpocząć po „długim biegu” — znowu sięgniemy do „Cezara i Kleopatry”

„Złamane serca” nie należą — przynajmniej w Polsce — do najpopularniejszych sztuk Shawa. I słusznie, bo autor zastosował w utworze tym konwencję, którą znamy z wielu znacznie lepszych realizacji. Oto w jednym miejscu zgrupował — jak to czynili Czechow, Ibsen, Beckett czy choćby Zofia Nałkowska w „Domu kobiet” — bankrutów życiowych, którym każe nawzajem przekonywać się, iż są rażącym błędem w logicznej konstrukcji świata. Nie mamy tu zatem starcia charakterów czy postaw, nawet nie dochodzi do zbyt

gwałtownego konfliktu racji, wszyscy są bowiem na pewien sposób podobni do siebie i wyznają ten sam, trochę już staroświecki racjonalizm, choć różnym postaciom służy on do różnych celów.

W istocie cała dramaturgia tego utworu oparta jest na igraszkach mocno już zużytych myśli, na nikłej, z trudem uświadamianej tęsknocie za bardziej sensownym życiem oraz na dialektyce dowcipu.

Irena Górska-Damięcka usiłowała uratować humor Shawa, a zarazem — jakby sprzeciwiając się autorowi — uciłowieczyć jego postaci, wypozażyć je w miłość, nadzieję, może nawet nienawiść, słowem — przekształcić przekomarzenie się idei w dramat ludzi. Rezultat niemal jak u Stevenson: dr Jekyll stworzył pana Hyde’a. Inaczej mówiąc, powstało coś, co przestało być czystą abstrakcją, ale nie stało się człowiekiem, co najwyżej jego karykaturą, rodzajem golema z atrapą uczuć, emocji i wyobraźni.

Poza tym na spektaklu ciąży jeszcze jeden grzech: jest miejscami najwyraźniej nudny. Zwłaszcza pierwsza odsłona mija bez wrażenia. Jeśli nawet od czasu do czasu rozlegał się na sali śmiech, to był on bardziej wymuszoną reakcją organizmu na ogarniające go zmęczenie niż spontanicznym odruchem radości...

Bądźmy jednak sprawiedliwi: w drugiej, zwłaszcza w trzeciej odsłonie było już pod tym względem znacznie lepiej, głównie dzięki interesującej grze Janusza Sykutery, który stworzył pełnokrwistą, a przy tym na swój sposób urokliwą postać kapitana Shotovera, oraz — choć w mniejszym stopniu — dzięki wysiłkom Elżbiety Miłowskiej (lady Utterword), Danuty Kołaczek (Ellie Dunn) i Renaty Kulickiej (Hesjona Hushabye). Właśnie wysiłkom, a przecież nie jest dobrze, jeśli w komedii obserwujemy „mękę twórczą” aktora. Pozostali, na przykład Ta-

deusz Kruszyński (Hektor Hushabye) czy Jan Miłowski (Billy Dunn) do końca nie potrafili znaleźć dla siebie właściwego miejsca w tym spektaklu.

Chyba jednak najlepszą partię — obok Sykutrey — rozegrał... scenograf Stanisław Bąkowski, który przy pomocy szarych płaszczyzn żagli, ostro rysujących się na tle błękitu nieba skomponował efektowną wizję „obejścia” zdziwaczałego żeglarza.

Rzeczywiście, w końcówce przedstawienia było lepiej, nie na tyle jednak dobrze, żeby usprawiedliwić obecność „złamanych serc” w repertuarze legnickiego teatru.

W sumie ten „Dom złamanych serc” nie miał serca, a i na myśli mu nie zbywało.

JAROSŁAW HAAK

Legnicki Teatr Dramatyczny. George Bernard Shaw: „Dom złamanych serc”. Przekład i reżyseria: Irena Górska-Damięcka, scenografia: Stanisław Bąkowski, opr. muz.: Jerzy Rezier.